

GRZEGORZ GAJEK

PETERKIN & BROKK  
KSIĘGA CZTERECH

 GENIUS  
CREATIONS

Grzegorz Gajek  
Peterkin & Brokk  
Księga Czterech



# Część I

## Drobina serca

Tuur był zły.

Maszerując, wściekle miesił błoto ulicy podkutymi podeszwami.

Specjalnie zerwał się o czwartej rano, aby przyłapać Ganebę w tych cichych godzinach przed brzaskiem, nim rozdzwonią się konne tramwaje, rozwarkoczą przedze w fabrykach bawełny, rozwrzeszczą gazeciarze i przekupnie. Lubił poranki, wilgotną woń powietrza, mgłę kotłującą się za oknem i to dziwne brzęczenie myśli we wpół uśpionym mózgu. Wtedy najlepiej mu się pisało. Znajdował rymy, przypominał sobie słowa, których za dnia nigdy nie pomyślałby użyć.

A wszak miał do dokończenia balladę.

Niestety, ledwie wstał z łóżka i rozsiadł się w fotelu – jedynym drogim meblu, jaki posiadał – w podwórku zaczął się rumor. Chwilę później w drzwiach mieszkania stanął rozziewany stróż. Za jego plecami czał się młody konstabl, krasnolud – podobnie jak Tuur.

– Jest pan potrzebny – powiedział młodzik. – Pilnie.

Tuur ubrał się pospiesznie. Przez chwilę się łudził, że będzie na nich czekać dorożka, ale policjant najwyraźniej przyszedł piechotą. Do posterunku nie było daleko.

Ruszyli żwawym krokiem. Konstabl raz po raz oglądał się na starszego krasnoluda. Zdawał się podekscytowany.

Szli dość długo ulicą Rymarską, aż przecięli brukowaną aleję Valemuth i dotarli wpieryw do alei Pików, a później do alei Serc, nieopodal Filharmonii. Tam, przed bramą nowoczesnej kamienicy o zaokrąglonych oknach i kratkach wijących się niby żelazny bluszcz, ujrzeli grupę policjantów i powoli rosnący, mimo wczesnej pory, tłumek gapiów.

– Panie Brokk, czy to prawda? – Wysoki mężczyzna, który wyłonił się spośród zebranych, napadł na Tuura z ołówkiem i notesem w rękach. Tuur poznał go od razu: Ciaran Cahoun, półelf, lordowski bękart, dziennikarz, menda.

– Nie mam jeszcze nic do powiedzenia.

– Panie Brokk, gdy chodzi o osobę tej rangi, opinia publiczna...

– Później, panie Cahoun. Później.

Przecisnęli się przez zbiorowisko i weszli do kamienicy. Na klatce schodowej Tuur posłyszał głosy rozmawiających konstabli.

– ...podobno posłali też po Peterkina.

– Tego gajera przeniesionego z czwartego posterunku? Ciekawe, co to za typ. Widziałeś go już?

– Nie, ale chodzą słuchy, że to łebski facet. Alchemik, tak mówią. Przedstaw sobie...

– Czy sierżant nie był wcześniej na czwartym posterunku?

– Gdzie tam, pieronie, na czternastym. Ale wystaw sobie, że ten Peterkin, jak to mówią...

– Dziwne, dałbym głowę, że jednak na czwartym.

– A do diabła z tą twoją zakutą pałą! Dasz mi dokończyć?

– Ciii, sierżant!

Tuur stanął przed konstablami.

– A co to za babskie ploty, co?! – huknął.

– Nic, nic, panie sierżancie, tak się tylko zastanawiamy...

– Lepiej prowadźcie mnie do nieboszczyka.

– Oczywiście, panie sierżancie. Tędy. Tylko...

– Co znowu?

– Bo myśmy słyszeli, że sprawę ma przejąć ten nowy detektyw, Peterkin, i tak się właśnie zastanawialiśmy...

– Detektyw Peterkin to znakomity oficer i dżentelmen godny najwyższego szacunku. Nie wypada, aby brały go na języki takie stare przekupy jak wy dwaj.

– Więc jednak...

– Tak, służyłem pod nim na czwartym posterunku.

– Jaki on jest?

– Czy ja mówię niewyraźnie, konstablu? Bądźcie, panowie, tak uprzejmi i pokażcie mi trupa.

– Tak jest. Ale...

– To nieprzyjemny widok.

Tuur wiele widział – wpierw na walederskiej wojnie, później w mordowniach i palarniach opium w dzielnicy Satindo – lecz musiał przyznać konstablowi rację. Widok do przyjemnych nie należał.

Ciało znajdowało się w niewielkim gabinecie. Z głowy nie zostało nic poza kawałkiem żuchwy upiornie sterzącym z rozerwanej szyi. Ściany ciasnego pomieszczenia były obryzgane krwią i mózgiem. Tuur z niesmakiem odnotował, że w eleganckiej boazerii z palisandru, obok fragmentów kości, tkwią także pojedyncze zęby.

Z wrażenia aż szarpnął za brodę.

– To my tu pana zostawimy – odezwał się jeden z funkcjonariuszy nieco słabym głosem.

– Chwileczkę. Kto znalazł ciało?

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Pewna dama... jak to się mówi... wątpliwej reputacji.

– Dziwka?

– No, na to by wychodziło.

– I to naprawdę on? Vivento Rossi?

– Tak nam powiedziała. Sądzi pan, że może być ktoś inny? Przecież to jego apartament.

– Niczego nie można wykluczyć. Gdzie jest teraz ta kobieta?

– Miller zabrał ją na posterunek. Zdaje się, że pan Rossi zamówił usługi tej pani przez swojego służącego, niejakiego... chwilkę, mam tu zapisane... Jak on się nazywał?

– Medu Elizyn – odpowiedział drugi konstabl.

– Ork, najwyraźniej. Podejrzany osobnik, jeśli pyta mnie pan o zdanie.

Tuur kiwnął głową. Waledowie w czasie wojny korzystali z orczych grasowników. Gdy napadali na wsie, kobiety rzucały się na kosy, żeby tylko nie wpaść w ich łapy.

– Więc ork i dziwka... – mruknął krasnolud. – Nikogo więcej?

– Nikt się nie zgłosił.

– Zaczniście przepytywać sąsiadów. Znajdźcie też tego Eliszyna. Aha, i pewnie przydałoby się skontaktować z wdową. Może będzie w stanie potwierdzić, że to jej mąż, chociaż...

Tuur ponownie szarpnął za brodę i nawinął na palec garść gęstego rudego włosów. Gdyby mógł, chętnie oszczędziłby kobiecie makabrycznego widoku.

– Coś jeszcze, panie sierżancie?

– Nie. Ruszcie się, czas nie czeka. Dopóki nie przyjdzie Peterkin, sam się trochę rozejrzę.

Konstable z przesadnym entuzjazmem oddalili się z miejsca zbrodni. Tymczasem krasnolud wszedł do gabinetu i ostrożnie omijając brunatne plamy na dywanie, zbliżył się do ciała.

Vivento Rossi, pomyślał. Największy artysta naszej epoki. Skrzypek ze względu na swój niepojęty talent podejrzewany o zawarcie paktu z demonami. Skandalista. Rozpustnik. Geniusz. A zostało z niego tylko tyle. Padlina.

Tuur kucnął. Przekrzywił głowę.

Co by zrobił Peterkin? Co zrobi, gdy już tu przybędzie?

Detektyw słynął ze swych niezwykłych metod śledczych. W czasie wspólnej służby Tuur zawsze obserwował go z fascynacją. Nie znał nikogo o tak błyskotliwym

umysle i rozległej wiedzy. Alchemik? Dobrze sobie. Brokk był krasnoludem i wiedział, że żaden szalenciec w gwieździstych szatach nie byłby w stanie osiągnąć tak niesamowitych umiejętności analitycznych. To była domena inżynierów. Peterkin stosował ulubiony oręż krasnoludzkiego plemienia: naukę i technikę. Szkoda, że sam był...

– Hej, hej, hej, a ty dokąd, cwaniaczku?

– Ej, łokietek, przyszedłeś coś zwinąć?

– O, nie – burknął Tuur i pobiegł do wyjścia.

Dwaj konstable już wyjęli pałki i właśnie ruszali w stronę niziołka, który zamarł u szczytu schodów, gdy dosięgnął ich gniew sierżanta.

– Czemicie pyski, ladaco! Baczność! Schować te pałki, bo nogi z dupy...!

Policjanci na sekundę zamarli z wpółotwartymi ustami. Tuur się nie patyczkował. Szarpnął jednego za ramię, aż jęknęły szwy munduru. Drugiego szturchnął. Następnie postąpił krok w stronę niziołka.

– Najmocniej przepraszam za tych zatraconych osłów, panie Peterkin – powiedział.

Niziołek wydawał się odrobinę zakłopotany. Na jego twarzy pojawiły się wypieki, ale Tuur jak zwykle nie był w stanie stwierdzić, czy spowodowała je złość, czy wstyd. Jeśli przez lata wcześniejszej pracy dowiedział się czegoś o swym przełożonym, to tego, że nie sposób powiedzieć, co kryje się w spojrzeniu jego wielkich, wszechwidzących oczu.

– Nic nie szkodzi, panie Brokk. – Peterkin machnął ręką i ruszył w stronę wejścia do apartamentu.



– Proszę wybaczyć konstablom, z pewnością wzięli pana za kogoś z prasy. Prawda, chłopcy?

Tuur łypnął gniewnie ku policjantom, którzy właśnie chowali pałki.

– Racja. Jak pan mówi.

– Tak było.

– Zrozumiały błąd. – Peterkin uśmiechnął się enigmatycznie. – Nic nie szkodzi. Sierzancie, byłby pan łaskaw pokazać mi miejsce zbrodni?

– Tak jest. Proszę za mną. Tutaj, w gabinecie.

– Hm... – Detektyw minął ciało i podszedł do biurka. – Futerał?

– Pan Rossi był skrzypkiem.

– Wiem. – Niziołek przekrzywił głowę. – Jest pusty.

Tuur spojrzał przełożonemu przez ramię i zaklął w duchu. Powinien był to od razu zauważyć.

– Sądzi pan, że ktoś zabrał instrument?

– Pan Rossi grał na stuletnich skrzypcach wykonanych własnoręcznie przez Pierluigiego Stelargento. To jeden z dwunastu takich instrumentów, które przetrwały do naszych czasów. Wyobrażam sobie, że mogą być warte parę koron.

– Sądzi pan, że morderstwo miało charakter rabunkowy?

– To możliwe. Jak wszystko na tym etapie. Co wiemy o okolicznościach śmierci pana Rossiego?

– Na razie niewiele. Dopiero zaczęliśmy przesłuchania. Ciało znalazła... ekhm... z przeproszeniem pańskim... ladacznica. Możliwe, że ostatnią osobą,

która widziała Rossiego żywym, był niejaki Medu Eliszyn. Ork.

– Rozumiem.

Peterkin obrócił się w stronę ciała. Lekko uniośł głowę, rozłożył ręce na boki. Wyglądał trochę jak wężący królik. Tuur mógłby przysiąc, że jeszcze chwila, a detektyw zacznie strzyc spiczastymi uszami.

– Jak pan sądzi, panie Brokk, jakiej broni tu użyto?

Krasnolud podrapał się po okazałym nosie. Powiódł wzrokiem po umazanych krwią ścianach.

– Czy ja wiem? Żaden pistolet nie spowodowałby tak znacznych szkód, więc raczej strzelba. Duży kaliber. Z bliska.

– Gdzie zatem kula? Albo śrut? Przy tak niewielkich odległościach zrobiłaby sporą dziurę w ścianie albo oknie za biurkiem. I proszę spojrzeć tutaj. – Peterkin zbliżył się do ciała i schylił. – Przy strzale z niewielkiej odległości na ubraniu pana Rossiego znaleźlibyśmy ślady spalonego prochu.

– Ale w takim razie jak, u diabła, to się stało? Jego głowa praktycznie przestała istnieć.

– O, to jeszcze nie koniec zagadek. Jeśli założymy, że napastnik strzelał od strony wejścia, to krew powinna się znaleźć głównie na ścianie naprzeciwko drzwi i oknie. Tymczasem ochłapane są wszystkie ściany i drzwi. Zupełnie jakby coś rozsadziło głowę pana Rossiego od wewnątrz.

– O ku... żnia. Czyli co? Ktoś nakarmił go granatem?

– Bardzo obrazowo pan to ujął. Ale nie, nie sądzę.

– Niziołek wydobyl z wewnętrznej kieszeni płaszcza

parę skórzanych rękawiczek. Następnie uniósł dłoń nieboszczyka i zaczął się jej przyglądać. – Żadnych śladów walki, a raczej nie dałby sobie niczego wepchnąć do ust po dobroci. Nie widzę też innych obrażeń, co znaczy, że nie próbował się osłonić.

– A zatem morderca zaatakował z zaskoczenia.

– Ciało jest zwrócone przodem do drzwi i spoczywa całkiem blisko nich. Jednak na biurku leżą pióro, otwarty kałamarz i częściowo zapisana partytura. Sądzę zatem, że pan Rossi mógł znać napastnika. Prawie na pewno sam go tu wpuścił.

– Sługa...

Peterkin podniósł wyżej dłoń martwego mężczyzny i zaczął po kolei zginać palce.

– Stężenie pośmiertne jeszcze nie chwyciło, więc zgon nastąpił nie więcej niż trzy godziny temu. Należy ustalić, kto poza panem Rossim mógł przebywać w tym czasie w budynku.

– Tak jest.

Niziołek odsunął się od ciała, wsparł pod boki, westchnął, ostatni raz omiółł wszystko spojrzeniem, a w końcu ponownie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnął z niej pędzelek i niewielkie puzderko.

– A to co? – zapytał zdziwiony Tuur.

– Proszę tylko zobaczyć.

Peterkin otworzył puzderko. Wewnątrz znajdował się jakiś ciemny proszek. Detektyw nabrał odrobinę substancji na pędzelek i powoli zaczął ją rozprowadzać po stojącym na biurku futerale.

– Widzi pan?

Sierżant schylił się i dostrzegł okrągły ślad, jakby odcisk korka od butelki albo czegoś w tym rodzaju.

– Ki diabeł?

Peterkin się uśmiechnął.

– Pański pobratymiec, niejaki Hugo Utryk, jakiś czas temu odkrył, że linie na palcach każdego z nas tworzą unikalny wzór. Ponadto odciskają się na wszystkich powierzchniach, których dotykamy, choć nieraz są niewidoczne. Dzięki temu mogą służyć do identyfikacji podejrzanych. Co więcej, wzorce linii posiadają pewne charakterystyczne cechy typowe dla poszczególnych ras. Wyjątek stanowią elfy, które najwyraźniej nie mają tych linii. Już teraz mogę stwierdzić, że futerału dotykały przynajmniej dwie osoby: człowiek i ork. Żeby powiedzieć coś więcej, będę potrzebował materiału porównawczego.

– No niech mnie ściśnie! – mruknął Tuur. – I powiada pan, że to krasnolud odkrył te całe linie? Nie wiem, żeby mnie to dziwiło, ale czego to nie wymyślą!

– Przepraszam... panie sierżancie. – W drzwiach gabinetu pojawił się jeden z konstabli, który desperacko starał się nie patrzeć na stojącego obok Tuura Peterkina. – Jest pan potrzebny.

– Co się stało?

– To pani Rossi. Czeka w podwórcu.

– Chce wejść? Nie może tego zobaczyć...

– Nie, panie sierżancie, nie chce wejść. Ta pani... jest jakaś dziwna. Lepiej, żeby pan przyszedł, pan będzie wiedział, co z nią zrobić.

Tuur i Peterkin wymienili spojrzenia. Detektyw kiwnął głową. Ruszyli za konstablem.

Na podwórku czekało na nich kolejnych dwóch policjantów. Między nimi stała wysoka kobieta. Brokk momentalnie zrozumiał, co miała na myśli konstabl, kiedy mówił, że jest dziwna. Trwała w idealnym bezruchu, ale coś w jej ubiorze i niedbałej fryzurze sprawiało, że oko patrzącego nie mogło się na dłużej zatrzymać w jednym miejscu. Poza tym jej twarz...

Tuur nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zna tę twarz, że widział ją tuziny razy, u tuzinów innych kobiet. Była to twarz rozpaczy... Choć nie, nie rozpaczy, czegoś gorszego, głębszego, ciemniejszego. Była to twarz dręczonych głodem dziwek z Satindo, które potrafiły się oddać kilku orkom naraz, żeby tylko dostać choć jedną, tę ostatnią działkę opium.

– Pani Rossi... – odezwał się miękko Peterkin.

– Wiem. On nie żyje.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. Niestety, dla jej własnego dobra nie możemy pani wpuścić na miejsce zbrodni.

– Nie chcę tam wchodzić – przerwała ostro kobieta.

– Może w takim razie pozwoliłaby pani, żeby jeden z konstabli odprowadził ją do domu? Rozumiem, że posiadacie państwo drugą rezydencję. W Grenval, jeśli się nie mylę. Obawiam się, że będziemy musieli zadać pani kilka pytań, ale to może na razie poczekać.

Nie odpowiedziała. Uniosła wzrok ku oknom kamienicy, ponad głowami znacznie od niej niższych policjantów.

– Pani Rossi...

Detektyw chwycił kobietę za rękę. Pani Rossi wzdrygnęła się. Jej twarz skurczyła się w wyrazie przestachu i... odrazy? Tuur był pewny, że Peterkin zaraz zostanie spoliczkowany. Lecz wtem dama spojrzała w dziwne, hipnotyzujące oczy niziołka i zaraz się rozluźniła. Zniknęło to niepokojące wrażenie uwięzionego ruchu.

– Dobrze. Proszę przyjechać, jak tylko będzie pan chciał zadać mi pytania. Jestem gotowa.

– Oczywiście. Sierzancie?

Tuur wyekspediował jednego z konstabli, aby odwiózł panią Rossi. Gdy tylko się oddaliła, odetchnął. Uświadomił sobie, że w jej obecności czuł się niezwykle spięty.

– I co pan o tym sądzi, panie Brokk? – zapytał Peterkin.

– W sensie: o pani Rossi?

– Tak.

Tuur się zawahał. Nie chciał zdradzić, jakie wspomnienia przywołała twarz kobiety.

– To chyba w jednej czwartej orczyńska – rzekł wymijająco.

– Ma pan rację, cechuje ją nieco egzotyczna uroda. Ale coś w jej obliczu wydało mi się znajome.

– Doprawdy?

– Tak. Tylko nie mogę... – Peterkin nagle strzelił palcami. – Już wiem! Kojarzy mi się z tym słynnym obrazem Humbelsa, *Królowa elfów*. Chodzi oczywiście o królową Fae Cuillin Laellan, nazywaną Królową Rozpaczy. Czy mi się wydaje, czy w swoim czasie

poświęcił jej pan jeden ze swoich poematów? Och, proszę nie robić takiej miny. Pseudonim przejrzałem błyskawicznie. Nie sądzi pan, że to trafne skojarzenie?

– Tak – wymamrotał Tuur. – W rzeczy samej.

\*\*\*

Odo Peterkin w ponurej zadumie ssał ustnik fajki. Nie palił, żar w cybuchu dawno zgasł. Myślał o Ed-dzie Rossi, żonie Viventa Rossiego. I o zmianach. Niziołki z zasady nie lubią zmian, bo uprawiana przez nie ziemia jest niezmienna. Tymczasem świat pędzi naprzód i nie ogląda się na tych, którzy nie nadążają.

Peterkin również nie lubił zmian, ale nie potrafił trwać w miejscu. Nowy przydział, nowa sprawa, nowi ludzie. Wszystko obce, straszne. Uzależniające.

Rozległo się pukanie. Drzwi się uchyliły, a w szparze pokazała się wielka kwadratowa głowa Tuura Brokka.

Niziołek się uśmiechnął. Cieszył się, że znów natrafił na swego dawnego podkomendnego. To miało coś wspólnego z tą ziemią. Powroty...

Zresztą kto by się połapał w uczuciach Oda Peterkina. Na pewno nie on sam.

– Sierzancie, proszę usiąść. Zapali pan ze mną? Przedni tytoń, Lahm-Finesse. Bez towarzystwa jakoś mi nie idzie.

– Pięknie dziękuję, panie Peterkin. Nie pogardzę.

Brokk wydobyl z odmetów surduta krótką, bardzo starą fajkę o glinianej główce. Peterkin podał mu ka-

peć z tytoniem, a gdy Tuur nabił – zapalną. Detektyw też ożywił żar w swoim cybuchu. Głęboko zaciągnął się dymem.

– To już wszyscy?

– Tak. – Krasnolud kiwnął głową. – Nikogo więcej nie udało nam się znaleźć. Została tylko pani Rossi. I ork.

– Nadal nie możemy go namierzyć?

– Przywarował gdzieś, psiajucha. Ale wywęszymy go, panie Peterkin. Wywęszymy. Na podstawie zeznań służby udało nam się stworzyć rysopis. Już rozprowadzamy go po wszystkich posterunkach.

– Jest pan przekonany, że to on jest winien, prawda?

– Nie przeczę. To najbardziej prawdopodobny podejrzany.

– Ale w tej sprawie jest tak wiele niewiadomych. Motyw?

– Rabunkowy.

– Mógł poczekać na lepszą okazję. Z tego, co wiemy, Eliszyn doskonale znał rozkład dnia swojego pana, przez większość czasu nie odstępował Rossiego na krok. Więc dlaczego go zamordował? No i druga kwestia, broń. To nie daje mi spokoju.

– Nie możemy też wykluczyć udziału Marii Kodyn, prostytutki, która znalazła ciało.

– Racja. Chociaż prędzej podejrzewałbym ją o kradzież niż morderstwo na tle rabunkowym. Ten trop wydaje mi się słaby. Ewidentnie była wstrząśnięta, więc mogłoby jej nie starczyć zimnej krwi. Czasu na



ukrycie skrzypiec też miała stosunkowo niedużo. No i nie zapominajmy, że nie zginęły żadne inne cenne przedmioty, jak choćby złoty zegarek, który Rossi wcięż miał przy sobie. Nie przypomina to raczej kradzieży oportunistycznej.

Obaj przez chwilę palili w milczeniu. W końcu odezwał się Brokk.

– Pozostaje jeszcze pani Rossi – powiedział z pewnym ociąganiem. – Sąsiedzi widzieli w okolicach domu kogoś, kto odpowiadał jej ogólnemu opisowi.

– Motyw?

– Zazdrość. Dowiedziała się, że mąż korzysta z wiadomych usług. Wpadła w szał. I go zabiła.

– Ale po co w takim razie zabierałaby skrzypce?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Ci artyści mają różne pomysły. Może chciała zniszczyć instrument, żeby pokarać męża?

– Wierzy pan w to?

– Nie.

– Ja też nie. Niemniej chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o pani Rossi, zanim się z nią spotkam. Ta kobieta ma coś w sobie, jakąś... energię. Myślę, że zrozumienie jej relacji z mężem może nam dużo dać.

– Hm... Jest ktoś, z czyjej pomocy moglibyśmy skorzystać.

– Kto taki?

– Mówi coś panu nazwisko Ciaran Cahoun?

– Dziennikarz... Tak, rozumiem, do czego pan zmierza. Świetna myśl, sierżancie! Potrzebujemy kogoś, kto

zawodowo babrze się w brudach. Proszę mi go sprowadzić.

– To akurat nie będzie problem. Od godziny czeka w korytarzu. Pomyślałem, że dam mu trochę dojrzeć.

– Brokk obnażył żółte zęby w brzydkim uśmiechu.

– Znakomicie! Zaraz go przyjmę.

– Tylko proszę uważać przy tej mendzie na słowa, szefie. Cahoun to śliska kreatura.

– Zapamiętam to sobie. Tymczasem dla pana też mam zadanie. Za wszelką cenę musimy znaleźć skrzypce. Proszę przeszukać wszystkie lombardy, zapukać do drzwi znanych nam paserów. Jeśli morderca będzie na tyle głupi, żeby spróbować je sprzedać, chcę o tym wiedzieć natychmiast.

– Tak jest. Chyba nawet wiem, gdzie zacząć.

– W porządku. W takim razie nie będę pana dłużej zatrzymywał. I proszę zawołać mi tu tego Cahouna.

Brokk skłonił się lekko, na krasnoludzką modłę. Wyszedł. Peterkin posłyszał głosy w korytarzu. Chwilę później w biurze pojawił się dziennikarz. Usiadł bez zaproszenia. Rzucił elegancki, trochę damski w kroju kapelusz na blat. Uśmiechnął się.

– Sławny detektyw Peterkin – powiedział. – To za szczyt wreszcie pana poznać.

– I wzajemnie. – Niziołek poświęcił chwilę na studiowanie twarzy swojego gościa.

Oblicze półelfa było bez wątpienia piękne: prosty nos, idealna symetria oczu i brwi, szlachetny krój ust, podbródek mocny, władczy, ale nie nadto ciężki.

Jednak detektyw nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za tą idealną maską kryje się... co właściwie? Nie zło. Raczej jakaś zimna pustka, dla której zło i dobro to pojęcia pozbawione sensu. W umyśle Peterkina na chwilę zagościło irracjonalne, bo niepoparte żadnymi logicznymi argumentami przekonanie, że oto siedzi w jednym pokoju z mordercą.

Jednak wrażenie to zaraz zniknęło.

– Sierżant Brokk był łaskaw wspomnieć, że życzył pan sobie widzieć się ze mną – powiedział dziennikarz. – Czym mogę służyć?

– Proszę mi powiedzieć, panie Cahoun, jak dużo wie pan o Vivencie Rossim i jego żonie?

– Och, bardzo dużo. Naprawdę bardzo, bardzo dużo, panie Peterkin. Vivento Rossi mógłby wyżywić plotkami całe stada wygłodniałych pismaków.

– Doprawdy? Oczywiście, to i owo obito mi się o uszy...

– Obito? Czyżby nie doceniał pan potęgi gazet? A zwłaszcza tych brudnych, dalszych stroniczek, tych, na które z taką lubością wylewamy najsilniej sfermentowane, najbardziej zjadliwe słowne dekokty?

– Nie ukrywam, że od plotek bardziej interesują mnie fakty.

Półelf pogardliwie machnął ręką.

– To przecież to samo. Słowo odczuwa perwersyjne ciągoty ku temu, by jak najszybciej stawać się ciałem.

– Być może. Więc jakie słowo w tym przypadku stało się ciałem?

Cahoun uśmiechnął się, a w błysku jego bieluchnych zębów było coś tysiackroć brzydszego niż w nikotynowym grymasie Brokka. Peterkin niemal widział obracające się za pięknymi oczami liczydła.

– Zanim cokolwiek panu powiem, chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

– Zamieniam się w słuch.

– Jestem kapitalistą, panie Peterkin. A jedyny kapitał wart posiadania to informacja.

– Proszę kontynuować.

– Dobijmy zatem targu. Przyklepmy, spluńmy w dłoń, jeśli tak pan woli. Będę służył panu swoją wiedzą tak długo, jak długo będzie to opłacalne dla obu stron. Zaczynając od teraz, od brudów na temat pana Rossiego i pani Rossi.

– A w zamian?

– O, proszę mi wierzyć, nie zażądam zbyt wiele. Chodzi tylko o to...

– Tak?

Cahoun pochylił się nad biurkiem, wbił wzrok w Peterkina.

– Z apartamentu Rossiego zniknęły skrzypce, prawda?

– Tak. Skąd...

– Cicho! Żadnych pytań. Później. Chcę wiedzieć, gdy tylko znajdziecie skrzypce. Chcę wiedzieć, gdy znajdziecie tego, kto je zabrał.

– To wszystko?

Półelf ponownie rozparł się na krześle.

– Wszystko. Mówiłem, cena nie jest wygórowana.

– Dobrze. Zgadzam się.

– Znakomicie. Więc co chce pan wiedzieć?

– A co powinienem?

Cahoun się roześmiał.

– W porządku. To po kolei. Rossi fascynuje się orkami. Dziad jego żony był orkiem, ona sama wychowała się w Waledere. Była śpiewaczką operową. Podobno diabelnie dobrą. Ale gdy poznała Rossiego, zrezygnowała z kariery. Wzięli ślub. Zaszła w ciążę. I mniej więcej tak długo udało jej się utrzymać zainteresowanie męża.

– Co się stało?

– Zostawił ją. Pojechał na *tournée* po Twinii, zaczynające się od wielkiego koncertu właśnie tutaj, w Ganebie. Powiedział, że przyśle jej bilety później, gdy wszystko będzie już gotowe. Nie przysłał. Powiedział, że przyśle jej pieniądze. Nie przysłał. Edda popadła w nędzę. Zachorowała. Poroniła.

– I co?

– Po prawie roku wrócił, jakby nigdy nic. Nieważne, że od kilku miesięcy nie miała od niego żadnych wiadomości. Przyjechał, wyciągnął ją z przytułku, przeproszał, obsypywał kwiatami. W Twinii chwilowo nie było dla niego miejsca. Zdaje się, że, jak to mówią, skradł tu wianek córce pewnego księcia. Musiał się zaszyć w Waledere, przeczekać skandal. Potem przez parę miesięcy wiedli sielski żywot. I znów zaczęły się kłopoty. Ta sama bajka, od nowa. Koncerty, wyjazdy, powroty i samotna żona zostawiona w domu. Tym

razem trwało to trochę dłużej. W końcu, po jakichś dwóch latach, Rossi znowu ją zostawił. Tym razem oficjalnie. Pojawiły się plotki o możliwości rozwodu. Chodziło o to, że po poronieniu Edda rzekomo stała się bezpłodna.

– Znowu została na bruku?

– Nie całkiem. Jej losem zainteresował się niejaki hrabia Ludd, Aleksander bodajże. Był od niej starszy, bogaty, nie miał żony ani dzieci.

– Została jego... metresa?

Półelf wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Aczkolwiek hrabia twierdził, że jego miłość jest czysta. W każdym razie podarował pani Rossi dom i wykupił dla niej dożywocie. Próbował ją namówić, aby wróciła na operową scenę. Zdaje się, że nawet dała kilka kameralnych występów.

– Przypuszczam, że i tym razem sielanka nie trwała zbyt długo?

– W rzeczy samej. Po kolejnym roku Rossi ponownie pojawił się w życiu żony. Wrócił jako wcielenie skruchy i miłości. A Edda przyjęła go, pomimo protestów Ludda. Co ciekawe, wzgardzony kochanek bynajmniej nie zażądał zwrotu swoich prezentów. Trzeba przyznać hrabiemu, że do końca okazał się dżentelmenem. Tym sposobem państwo Rossi zyskali nowy, piękny dom i wcale elegancki dochód. Niestety, w tym czasie popularność Rossiego chwilowo osłabła. Dostawał coraz mniej angażów, a proszę mi uwierzyć, nie odmawiał sobie niczego. Kawior, szampan, kurtyzany i żigolacy,

którym nawet wąs się jeszcze nie sypał. Plotki o ekscesach nie milkły. Doszło nawet do tego, że kanclerz Waledere osobiście nakazał Rossiemu opuścić kraj, aby nie siał zgorzenia.

– Wrócili do Twinii? – zapytał Peterkin.

– Nie od razu. Na jakiś czas wyjechali na wschód. Magia orientu miała się okazać dla nich przekleństwem. Pamięta pan, że wspominałem o fascynacji Rossiego orkami. Wtedy osiągnęła ona apogeum. Rossi brał udział w najbardziej wyuzdanych obrzędach animistycznych, przechodził inicjacje w różnych mniej lub bardziej tajnych zakonach. I, co najważniejsze, zaczął palić opium. Wkrótce roztrwonił cały majątek, sprzedał nawet dożywocie żony. Stał się wrakiem. Inny człowiek prawdopodobnie by tego nie przeżył, ale musi pan wiedzieć, że on miał iście diabelską konstytucję. Niemniej gdyby nie żona, która w pewnym momencie podobno zaczęła nawet kupczyć własnym ciałem, aby mieli co jeść, z pewnością oboje zginęliby marnie. A tak przetrwali najgorsze. Po wojnie z Waledere zmieniła się koniunktura. Ktoś sobie nagle przypomniał o wielkim wirtuozie sprzed lat i Rossi wrócił do Twinii w blasku chwały. Przez ostatnią dekadę jego popularność właściwie nie słabła, jednak skandali nie brakowało. Weźmy choćby Medu Eliszyna...

– Sługę? – zdziwił się Peterkin. – A cóż w nim może być szokującego?

– Eliszyn bynajmniej nie był sługą Rossiego. Biorąc pod uwagę naturę ich związku, powiedziałbym wręcz, że za zaciągniętymi kotarami był panem.

- Co chce pan przez to powiedzieć?
- Cahoun się roześmiał.
- Ależ pan jest rozkosznie naiwny i drobnomieszczkański! Eliszyn i Rossi byli kochankami.
- I pani Rossi wiedziała o tym?
- Oczywiście.
- Tolerowała to?
- Drogi panie Peterkin, po wszystkim, co panu opowiedziałem, to jedno akurat nie powinno pana dziwić. Edda Rossi była w stanie znieść każdą torturę, każde poniżenie, które zgotował jej mąż.

\*\*\*

Przechodząc przez posterunek, Tuur nie mógł nie usłyszeć rozmów konstabli. Gdybyż tylko miał czas, o!, zachręściłyby kości, posypałoby się parę zębów. Tymczasem jednak musiał się zadowolić zaciskaniem pięści i gryzieniem brody.

Na języki trafił oczywiście Peterkin.

- Do czego to doszło, łokietki w policji!
- Przedstaw sobie, ten Peterkin, coby rączek nie powalać, w rękawiczkach trupa macał.
- A... a... a... słyszałem, że-e on nosi prz-prz-przy sobie zawsze puuuderniczkę.
- Żeby tylko! I pędzel! I manikiur se robi!
- Tak, tak, przedstaw sobie...
- Łokietki, wszędzie łokietki, złodzieje, anarchiści i buntownicy, ot co.



– Niedługo nawet gnomów zaczną przyjmować!

Tuur trzasnął drzwiami, a gwar ulicy zaraz wyplukał z jego uszu słowa policjantów. Brzęczenie much, nic więcej.

Krasnolud przeszedł kilka przecznic, aż dotarł do alei Vandeveugle'a. Tam uliczny raban się wzmógł. Końskie kopyta klekotały na kamiennej kostce. Niewydarzony jakiś grajdmistrz zarzynał skrzypce bez krzty miłosierdzia. Ludzie pohukiwali, pokrzykiwali, wszędzie tłok, przekupnie, gazeciarze, kurier świąteczny, kto kupi, ten grzeczny, hej, drynda, stój, aj, gdzie leziesz!

Świergot dzwonka poinformował Tuura o zbliżającym się konnym tramwaju. Sierżant bez namysłu, wyuczonym krokiem, wziął rozbieg, wybił się i złapał za drążek. Konduktorowi uchylił poły surduta. Odznaka, czyli bez taryfy.

W piętnaście minut dotarł do skrzyżowania z ulicą Lantzera. Tam zeskoczył i ruszył na Zaporcie.

Była to jedna z gorszych części miasta, granicząca z niesławnym Satindo. W odróżnieniu jednak od cuchnącej dzielnicy szynków i burdeli Zaporcie cechowała swego rodzaju strupieszala elegancja. Gazowe latarnie, choć nie paliły się już od dwudziestu lat z okładem, wciąż puszyły się wyszukаныmi ozdobami z kutego metalu. Ulice były szerokie, ale szczerbate, bo nikt nie łątał bruku. Domy straszyły ciężkim, przebrzmiałym przepychem, wysokimi, przeważnie powybijanymi oknami, frontami oblażącymi z kolorowej farby, rzeźbami bez głów, płaskorzeźbami bez twarzy, furtkami bez klamek.

Niemniej w tych zgliszczach minionego splendoru wciąż tętniło życie. Pałace poszatковано na miesz-

kania, karczmy, sklepy, zakłady usługowe. Na poddaszach gnieździli się artyści. Salony obrócono w karciniarnie. W oficynach kwitł handel.

Tuur wypatrzył dobrze mu znane symbole gnomiego alfabetu wymalowane na starej tarczy herbowej w furcie jednego z domów. Przepchnął barkiem przerdzewiałą kratę, przedarł się przez gąszcz chwastów i stanął pod drzwiami lombardu. Splunął na zły urok, odetchnął głęboko, po czym bez pukania wszedł do środka.

W nozdrza uderzył go smród kurzu i starego potu.

– Josek, wyłaż, jużem cię zwęszył! – krzyknął od progu sierżant.

Zza kontuaru w głębi sklepu wyłonił się wyjątkowo niski gnom o fizjonomii kreta: Josek Sztajn, pośrednik handlowy, importer towarów rzadkich, memorabiliów i kuriozów, okazjonalny bankier i kredytodawca ostatniej instancji.

– Czyż mnie mylą krótkowzroczne oczy? Czyż to nie mój stary przyjaciel Tuur?

– Żaden przyjaciel i żaden Tuur, Josek – odparł krasnolud, podchodząc bliżej. Gnom na wszelki wypadek kicnął z powrotem za kontuar. – Dla ciebie to ja jestem sierżant Brokk i nie zapominaj o tym.

– Ależ oczywiście, panie sierżancie. Zwracam honor. Nie chciałem urazić.

– No, no, Josek, z ironią tobie nie do twarzy. Ironia to jest dla artystów i arystokratów. Zresztą mniejsza, mam do ciebie romans.

– Zamieniam się w słuch.

Tuur oparł o ladę swe ciężkie łapska zawodowego boksera. Wpatrzył się w twarz handlarza.

– Jak tam interes, co, Josek? – zapytał.

– Dziękuję, idzie świetnie.

– Wszystko grzecznie i jak trza?

– Jak trza, panie sierżancie.

– No, ja myślę. Po naszym ostatnim spotkaniu byłbym niepokieszony, gdyby się okazało, że wracasz do dawnych, nie oszukujmy się, niepięknych praktyk handlowych.

Gnom poruszył się niespokojnie, skrzywił. Ukrył lewą rękę w połach płaszcza, jakby nagle odezwała się w niej dawno uszpięta newralgia.

– Daj spokój, Tuur, jestem czysty, przecież wiesz – powiedział.

– Sierżancie Brokk – upomniał miękko Tuur. – Powiedz mi zatem, Josek, czy ktoś przypadkiem nie zjawił się dziś rano u ciebie i nie złożył ci propozycji z rodzaju tych, które już niegdyś wpędziły cię w kłopoty.

Handlarzowi drgnęła powieka. Ledwo zauważalnie, ale nie na tyle, aby umknęło to uwadze Tuura.

– Nie. Sami biedni, uczciwi klienci.

– Doprawdy? Nikt nie szukał nabywcy dla pięknych, zabytkowych skrzypiec? Przecież jesteś znanym autorytetem, jeśli chodzi o takie przedmioty.

– Ktoś cię musiał wprowadzić w błąd – powiedział Josek. Głos mu zadrżał.

Już wie, że ja wiem, pomyślał Tuur.

Rąbnął pięścią w ladę.

– Nie kręć! Myślisz, że nie poznam?!

– Ale naprawdę...

– Gadaj!

Gnom odetchnął głęboko.

– No dobra, był tu ktoś. Pytał, czy byłbym zainteresowany zakupem zabytkowych skrzypiec. Powiedział, że to bardzo rzadki przedmiot, kolekcjonerski, autentyk. Spytałem, czy to legalne. Odparł, żebym nie pytał. Więc posłałem go do diabła. Przysięgam, że tak było. Przecież bym nie ryzykował. Jestem czysty. Przysięgam.

Tuur zabrał ręce z kontuaru. Odwrócił się. Podeszedł do najbliższej półki. Udał zainteresowanie jakąś elficką wazą.

– Wiesz, że jestem rozsądny – mruknął. – Można się ze mną dogadać.

– Tak, Tuur...

– A-a-a!

– Sierżancie...

– Właśnie. No więc można się ze mną dogadać. Ale nie można mnie oszukiwać.

– Nie oszukuję cię! Klnę się na babkę. Był tu taki, pytał, jak mówiłeś, posłałem do diabła!

– Josek...

– Tak?

– Pozwól no tutaj.

– Coś ty, Tuur... Panie sierżancie. Daj spokój. Tak było, jak mówię, na babkę się klnę.

– Pozwól. Chodź, chodź, nie bój się. – Brokk wciąż się nie odwracał. Nadstawił tylko uszu.

Po chwili posłyszał miękkie stąpanie gnoma.

Ale będzie psikus, jak pewnego dnia wpadnie na to, żeby wreszcie ozdobić mi łopatkę kozikiem, pomyślał Tuur w przypływie wisielczego humoru.

Kroki ucichły.

Krasnolud obrócił się błyskawicznie. Wyprowadził szybki cios lewą ręką, w wątrobę, tak żeby bolało.

Josek charknął, zgiął się wpół.

Tuur chwycił go za frak, bez trudu oderwał od ziemi i gruchnął nim o ladę.

Odczekał chwilę, by handlarz złapał oddech, a potem powiedział:

– To jeszcze raz. Co powiedziałaś temu gościowi, który chciał ci sprzedać skrzypce?

– Odesłałam go do Charłaka Wildsztajna! – zawył gnom. – Tylko nie bij, proszę, nie bij! Było, jak mówiłem, chciałem posłać go do diabła! Bo ja jestem czysty, Tuur, przysięgam! Ale on nalegał! To pomyślałem, ja nie zyskam, ale co ma inny stracić? Przysięgam, tak było!

– Nie czaruj, Josek. Wildsztajn pewno odpala ci działkę. Dużo mu już tak klientów narabiłeś?

– Nikogo, jak babkę, jak matkę... Tuur, jak siebie kocham, nikogo!

– Nieważne. W tej chwili mnie to nie obchodzi. Powiedz lepiej, jak wyglądał ten, co pytał o skrzypce.

– To był elf albo może półelf.

– Nie ork?

– Żaden ork. Jak mówię, elf, z pewnością elf.

– Opisz go.

– Tuur, zmiłuj się, elf jak elf, dla mnie oni wszyscy tacy sami. Wysoki, blondas, gładki jak lalunia.

– Oj, Josek, lepiej wysil się trochę i przypomnij sobie jakieś szczegóły.

– Wiem! Miał pierścień!

– Jaki pierścień?

– Złoty. Dwa diamenty, małeństwa, nie więcej jak piąta część karata każdy. W kształcie liścia.

– Pierścień w kształcie liścia. Słabo, Josek, co drugi elf nosi jakąś błyskotkę w kształcie liścia.

– Nic więcej nie pamiętam, naprawdę!

Tuur odstawił gnoma z powrotem na ziemię. Pod handlarzem rozjechały się nogi, klapnął na podłogę jak kukła z gałganów. Następnie bezceremonialnie się zrzygał.

– Pięknie – burknął Tuur i wyszedł z lombardu.

Na zewnątrz przeszedł go dreszcz. Poczuł, że jeszcze chwila, a sam zwymiotuje prosto na własne buty. Przepęlniony odrazą do samego siebie ruszył naprzód szybkim krokiem. Byle tylko zostawić za sobą tego drugiego Tuura, tego, którego Odo Peterkin wyciągnął z najgorszej nory w Satindo: pięściarza, pijaka, zero.

\*\*\*

Koła powozu zaturkotały na żwirowym podejździe. Zatrzymali się. Zapadła cisza, w którą dopiero po chwili wkradł się szmer fontanny i kroki służących.

Odo wyskoczył z pojazdu.

– Pan Peterkin, jak mniemam? – zagadnął jeden z nadchodzących mężczyzn.

– W rzeczy samej.

– Pani już na pana czeka. Proszę za mną.

Peterkin ruszył za kamerdynerem, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, jakby trafił do jednego z idyllicznych obrazków Lukasa Sołczyzna. Podmiejski dom Rossich nie był po prostu jasny – on lśnił w ciepłym, popołudniowym świetle. Podobnie jak drobne kamyczki, którymi wysypano podjazd. Zieleń rozrzuconych w pozornym nieładzie cedrów i cyprysów zdawała się nienaturalnie soczysta. Nawet woda w fontannie wyglądała jak namalowana i rzucała bajeczne blaski na rzeźby igrających nimf i satyrów.

– Pani przyjmie pana w saloniku orientalnym – poinformował kamerdyner, gdy tylko przekroczyli próg domostwa.

Odo został uwolniony od płaszcza i wprowadzony do niewielkiego pomieszczenia, którego związki z Orientem były raczej pozoranckie – jakaś makata sprowadzona z Orcji, tapety w szachrackie wzory, subtelne grafiki nawiązujące do sztuki wysp Todzi – ale pomagały stworzyć atmosferę nienachalnego przepychu.

Detektyw usiadł na wskazanym miejscu. Fotel był dla niego nieco zbyt wysoki, więc musiał zsunąć się na samą krawędź, aby oprzeć stopy na posadzce i przyjąć choć trochę dystyngowaną pozycję. Zapatrzył się na elegancki marienburski zegar, zaśłuchał w trajkot mechanizmu.

– Podoba się panu nasz zegar?

Pani Rossi zjawiała się w pomieszczeniu jakby znikąd. Wyglądała lepiej niż rano, aczkolwiek w jej oczach nadal dało się dostrzec coś zimnego i bardzo odległego.

– Napije się pan herbaty, panie Peterkin? – zapytała.

– Poproszę.

W dłoni kobiety zaśpiewał srebrny dzwoneczek. Sekundę później do saloniku wkroczył lokaj z tacą, na której niósł dwie filiżanki, dzbanek herbaty, cukier, mleko i talerz biszkoptów.

Aryokratyczna magia, pomyślał Odo.

Przyjął herbatę, dolał odrobinę mleka, podziękował.

Pani Rossi również wzięła filiżankę.

Lokaj zniknął.

– Na początek proszę jeszcze raz przyjąć moje najszersze kondolencje – zaczął Odo, który nagle poczuł się onieśmielony.

– Dziękuję panu – odparła głucho kobieta.

– Nie, to ja dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć w takim momencie.

– Proszę zadać swoje pytania, detektywie.

Słowa te zabrzmiały nieco obcesowo, lecz niezrażony Peterkin przeszedł do rzeczy.

– Zanim zacniemy, mam do pani nietypową prośbę. Chciałbym pobrać pani odciski palców.

– To znaczy?

– Procedura jest niestety dość... brudna, ale może znacznie pomóc w naszym śledztwie. Chodzi o to, aby umoczyć opuszki palców w atramencie, a następnie odcisnąć je na kartce.



Odo spodziewał się, że dama zażąda pełniejszego wyjaśnienia tej pozornie absurdalnej czynności, lecz ona obojętnie wzruszyła ramionami.

– Mam poprosić o kałamarz? – zapytała.

– Nie ma takiej potrzeby.

Detektyw wydobył z wewnętrznej kieszeni marynarki własnej roboty zestaw do pobierania odcisków – papierośnicę, wewnątrz której znajdowała się nasączona atramentem gąbka. Poprosił panią Rossi, żeby umoczyła palce, a następnie przycisnęła je do kartki w jego notatniku.

– Dziękuję – powiedział, gdy spełniła prośbę. – A teraz przejdźmy do pytań. Czy wie pani, gdzie przebywa obecnie sługa pani męża?

– Eliszyn? O, on nie jest żadnym sługą.

Odo uniósł brwi.

Zamierza tak po prostu wszystko wyznać? – zdziwił się.

– Nie?

– Eliszyn był dla mojego męża kimś w rodzaju duchowego przewodnika. Guru, jeśli pan woli. To magnetyzer. Myślę też, że czarodziej. Ma niesamowitą moc.

– Boi się go pani?

Pani Rossi się zastanowiła. Spojrzała niziołkowi w oczy, lecz zaraz spuściła wzrok.

– Tak.

– I nie wie pani, gdzie mógłbym go w tej chwili znaleźć?

– Przykro mi, ale nie. Eliszyn nie był częścią domu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. On i mój mąż mieli swoje sprawy. Ja zawsze wolałam trzymać się od niego z daleka.

– Pani Rossi, z góry proszę o wybaczenie, ale muszę zapytać. Czy możliwe, że pana Rossiego i Eliszyna łączyły... jak by to ująć... bliższe relacje?

– Co ma pan na myśli?

– Doszły nas słuchy, że ich wzajemne stosunki były raczej... cielesne.

– To absurd! Och, wiem, że mój mąż miał różne popędy, nieraz godzące w mieszczańską moralność. Ale w przypadku Eliszyna nie ma mowy o niczym takim. Widzi pan, to kastrat. Zresztą nigdy się z tym nie krył. Dlatego przypuszczam, że jest czarodziejem. W niektórych orczych plemionach kastracja to część szamańskiej inicjacji.

– Rozumiem – ciągnął Peterkin, za wszelką cenę starając się nie dać zbić z tropu. – Od jak dawna Eliszyn towarzyszył pani mężowi?

– Poznaliśmy go dwa lata temu podczas *tournée* po Waledere. Ktoś przedstawił go mojemu mężowi na jednym z balów, ale nie jestem pewna kto. Czemu właściwie tak się pan o niego dopytuje? Czy jest podejrzany?

– Jeszcze za wcześnie, żebym mógł coś powiedzieć, ale jego zniknięcie rodzi wiele pytań.

– Pojmuję.

– Czy zeszłej nocy odwiedziła pani męża w apartamencie przy alei Serc?

- Tak.
- Czy można spytać o której?
- Nie wiem. Było późno, na pewno po północy.
- Czy Eliszyn również znajdował się wówczas w apartamencie?
- Nie. Mąż był sam.
- Dlaczego pojechała pani do niego o tak późnej porze?
- Byłam wzburzona, bo miał wrócić o jedenastej. Doszłam do wniosku, że znowu sprowadził sobie jakąś paniusią, więc pojechałam popsuć mu zabawę. Zawsze czuł się zażenowany, gdy go przyłapywałam na cudzołóstwie. Wściekał się.
- Ale tym razem był sam?
- Tak. Pracował nad nową kompozycją. Wypiliśmy po kieliszku sherry. Później pojechałam do domu.
- Rozumiem, że miał przy sobie swoje słynne skrzypce?
- Oczywiście.
- Proszę mi powiedzieć, czy Eliszyn czasami nosił instrument, czyścił go albo coś takiego.
- Nigdy. Mój mąż miał obsesję na punkcie tych skrzypiec. Wie pan, to oryginalny stelargento. Viento zawsze sam go czyścił, konserwował, stroił.
- A futerał? Czy ktoś poza pani mężem mógłby go dotknąć?
- Raczej nie. Tabu obejmowało wszystkie przedmioty, które wchodziły w kontakt ze skrzypcami. Jedwabne szmatki, kamerton, smyczek...
- Odo wziął długi łyk herbaty, żeby dać sobie chwilę na zebranie myśli. Rozmowa nie przebiegała do końca

tak, jak by sobie życzył. Czuł, że musi jakoś przebić się przez mur rezerwy pani Rossi, uderzyć w czułą nutę.

– Pani w swoim czasie również zajmowała się muzyką, prawda? – spytał w końcu.

Kobieta uśmiechnęła się blado.

– Tak. Byłam śpiewaczką operową.

– Mogę spytać, czemu zrezygnowała pani z kariery?

– Trudno powiedzieć.

– Lubiła to pani? Śpiew?

– Był czas, że uwielbiałam. Roztapiałam się w kompozycjach Vandeveugle’a, pozwalałam porwać ich fatalnej sile. Muzyka, opera... one dają poczucie mocy, wie pan? Kiedy się stoi na scenie i śpiewa arię kontessy ze *Zdrady Phingana* albo młodej Lete z *Królowej elfów*...

Pani Rossi zamilkła gwałtownie. Na jej policzkach na chwilę zaśnił rumieniec, w oczach pojawił się błysk. Zaraz jednak fizjonomia kobiety zakrzepła w martwą maskę.

– Co się stało? – zapytał Odo.

– Proszę?

– Co takiego sprawiło, że postanowiła pani to wszystko porzucić?

Usta pani Rossi znów rozciągnęły się w uśmiechu – tym razem mniej wymuszonym, jednak podszytym goryczą.

– Śpiewu uczył mnie Emilio Sporgato, jeden z największych żyjących ludzi opery. Niezwykły charakter. Rubaszny, wulgarny, a jednocześnie beznadziejnie wrażliwy. Wie pan, co mi powiedział?

– Co takiego?

– „Możesz mieć głos, od którego pękają kieliszki, Dada, ale w tym zawodzie to za mało. Śpiewacy są jak dziwki, muszą wiecznie udawać pasję. A po setnym, pięćsetnym, tysięcznym występie to jest trudne. Człowiek myśli już tylko o swoich hemoroidach, o tym, że mu nogi w dupę włożą, o kolejnej szklaneczce wódki. Lecz póki w jego grze pozostaje drobina serca, jest w stanie wszystkich oszukać, wmówić im, że ciągle płonie w nim nieugaszony żar muzyki. Gdy tego zabraknie, śpiew staje się pustym krzykiem”. Widzi pan, detektywie, ja tę drobinę serca straciłam.

\*\*\*

Tuur przesłał wiadomość na posterunek przez pierwszego napotkanego konstabla, a sam ruszył prosto do fabryki firmy P. Schuyler i Synowie. Czuł, że powinien się spieszyć.

Zakład był nieczynny od dziesięciu lat, bo starego Schuylera trafiła apopleksja, a synowie zginęli na walederskiej wojnie. Charłak Wildsztajn urządził swój lombard w jednym z opuszczonych zabudowań.

Nie było go jednak na miejscu. Zagracony sklepik okazał się otwarty, ale pusty.

Brokk wyjrzał na fabryczny podwórzec. Walało się tam trochę śmiecia, jakieś zardzewiałe puszki, przegniłe skrzynie. Na środku placu coś połyskiwało. Tuur podszedł bliżej i zobaczył głowę lalki, w której niepokojąco wielkich szklanych oczach odbijało się słońce.

– Charłak?! – zawołał. – Jesteś tu?!

Odpowiedziało mu jedynie skrzypienie ramienia żurawia przy rampie przeładunkowej.

Z uczuciem nieprzyjemnego świerzbieńnięcia między łopatkami przeszedł przez plac. Ciężkie, metalowe drzwi do hali produkcyjnej zastał uchylone. Ostrożnie zajrzał do środka. Szpara była wąska, ale udało mu się dostrzec jakąś stertę szmat.

Rozejrzał się. Po krótkim namyśle otworzył drzwi szerzej i przekroczył próg.

Wysokie, umieszczone pod sufitem okna zostały w większości zabite deskami, ale w jednym jakimś cudem uchowało się szkło. Wpadał przez nie długi snop światła, w którym wirowały drobinki kurzu. Blask spływał wprost na spoczywającą na ziemi stertę szmat. Tyle że to nie były szmaty. To był Medu Eliszyn. Ork leżał z rozkrzyżowanymi rękami w kałuży ciemnej, zaschłej krwi. W palcach zaciskał nóż.

Tuur podszedł do ciała i wówczas spostrzegł, że kawałek dalej, poza linią światła, spoczywa kolejny trup. Rozpoznał Charłaka Wildsztajna. W dłoni gnoma wciąż tkwił niewielki damski rewolwer.

Nieopodal leżały skrzypce.

W pierwszym odruchu Brokk chciał je podnieść, ale się powstrzymał. Zachowuj się jak Peterkin, upomniał się. Pozycja każdego przedmiotu na miejscu zbrodni jest niezwykle ważna.

Kucnął przy Eliszynie. Przyjrzał się ranie. Strzał ewidentnie padł z bardzo bliska; kamizelka orka była osmolo-

na. Biedny sukinsyn musiał się błyskawicznie wykrwawić. Sądząc po barwie krwi, kula rozdarła wątrobę.

Charłak też nie męczył się zbyt długo. Miał przebitą szyję. Paskudne ostrze orczego noża rozerwało tętnicę.

Sprawa wydawała się prosta. Eliszyn przyniósł skrzypce do Charłaka. Pokłócili się o coś, pewnie o cenę. Doszło do szarpaniny. Ork zapewne uderzył pierwszy, ale gnom zdążył jeszcze wystrzelić. Zginęli obaj.

Jednak Tuurowi coś się nie zgadzało. Cofnął się o dwa kroki, żeby objąć całą scenę wzrokiem. Światło wpadające przez okno. Drobin kurzu. Ciała. Skrzypce. Krew. Był w tym jakiś niemal artystyczny porządek. Miejsce zbrodni nie powinno tak wyglądać. Nie, śmierć zostawia ślad. Jeśli jest gwałtowna, pozostawia po sobie upiorny powidok dynamiki. A obrazek, na który patrzył krasnolud, był idealnie statyczny. Teatralny.

Co tu się tak naprawdę stało?

W tym momencie usłyszał kroki w podwórku. Zamarł. Przez głowę przemknęła mu kawalkada myśli. To mógł być każdy, ale instynkt podpowiadał, że lepiej przyjrzeć się przybyszowi z bezpiecznego miejsca.

Sierżant jednym susem dotarł do skrzypiec. Zapominając o wcześniejszych obiekcjach, porwał je z ziemi. Wbiegł po schodkach na rampę produkcyjną i dał nura za jakąś maszynę.

Przerdzewiałe drzwi zakładu zgrzytnęły wściekle. Do wnętrza wpadło trochę więcej światła. Nagły powiew wiatru podniósł kurz.

Tuur ostrożnie wyjrzał z kryjówki. W świetlistym kwadracie wejścia dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie identyczne długie płaszcze z postawionymi kołnierzami, na głowach kapelusze. Ich twarze ginęły w cieniu, ale gdy się poruszyli, błysnęły dwie pary okrągłych okularów.

Przybysze podeszli do ciał. Ich ruchy były nienaturalnie sztywne i precyzyjne. Maszerowali w nogę. O dziwo nie poddali zwłok oględzinom, tylko stanęli nad nimi i zaczęli się rozglądać.

Jeden z nich spojrział w stronę Tuura. Okrągłe szkła na ułamek sekundy chwyciły świetlny refleks. Krasnolud był pewien, że został zauważony. Zmartwił. Wstrzymał oddech. W tych dwóch typach było coś takiego, że w palce zaczął go szczypać zimny strach, z jakim nie miał do czynienia, od czasu gdy nad jego głową śpiewały kule z walederskich karabinów.

Nie padło żadne słowo, ale przybysze zgodnym ruchem wydobyli spod płaszczy rewolwery.

Krasnolud zaklął w duchu. Że też do standardowego wyposażenia ganebskiej policji nie zaliczała się broń palna.

Powoli, cicho, cichuteńko wydobył zza pazuchy krótką obitą pałkę. Lepsze to niż nic.

Stojący bliżej mężczyzna ruszył w stronę schodków prowadzących na rampę produkcyjną.

Tuur wycofał się i przywarł do ściany. Zdał się na słych. Musiał wyczekać na odpowiedni moment, spróbować ogłuszyć przeciwnika, a potem rzucić się



do ucieczki. I liczyć na to, że ten drugi facet nie strzela zbyt celnie.

Kroki na chwilę ucichły. Potem zabrzączał pierwszy stopień metalowych schodków.

Wtedy właśnie w drzwiach fabryki stanęła kolejna osoba.

\*\*\*

Odo z pewnym trudem wdrapał się do policyjnej dorożki, której ewidentnie nie zaprojektowano z myślą o niziołkach. Woźnica nie rwał się do pomocy.

– Dokąd teraz, panie detektywie? – zapytał tylko, gdy Peterkin usadowił się na miejscu.

– Wracamy na posterunek. Być może sierżantowi Brokkowi udało się dowiedzieć czegoś na temat naszych zaginionych skrzypiec.

Woźnica burknął coś, co zaczynało się na „ta”, a kończyło na „st”, i smagnął konie. Koła zachrzęściły na drobnych kamieniach.

Odo w zamyśleniu patrzył na zmieniające się otoczenie. Dumał nad tym, czego właściwie się dowiedział.

Tymczasem wille i zielone parczki zaczęły ustępować miejsca ciasno ustawionym kamienicom, murowanym budynkom użyteczności publicznej, fabrykom. Powietrze powoli gęstniało. Kształty delikatnie się zacierały, kolory bledły, żółkły. W sercu miasta wiecznie snuły się mgły i dymy.

Z zamyślenia wyrwało detektywa jakieś poruszenie na ulicy. Ktoś machał na woźnicę, aby zwolnił. Niziołek wychylił się z okna i dojrzał Ciarana Cahouna.

– Proszę się zatrzymać – polecił.

Dorożka zjechała na bok, ściągając kłatwy z turkoczącego tuż za nią pojazdu.

Dziennikarz podszedł bliżej i przyjmując nonszalancką pozę, oparł ramię na krawędzi okna, przy którym siedział Peterkin.

Odo mimochodem dostrzegł, że na serdecznym palcu lewej dłoni półelfa lśni złoty pierścień w kształcie liścia.

– I jak tam postępuje śledztwo, drogi panie Peterkin?

– Obawiam się, że nie mam panu nic do... zameldowania, panie Cahoun.

– Ależ drogi panie, po cóż ten sarkazm? Na te sprawy potrzeba czasu. Nie wątpię, że pański zdolny sierżant już wypieszcza, kogo trzeba, w poszukiwaniu tropów.

– Sierżant Brokk w swoich przesłuchaniach na pewno ściśle przestrzega protokołu.

– Oczywiście. – Półelf uśmiechnął się krzywo. – Ale nie zaczęłam pana, żeby dyskutować o technikach śledczych ganebskiej policji. Właściwie nawet trochę mnie pan zranił, posądzając o interesowność, gdyż w istocie przyszedłem tu z zamiarem udzielenia panu absolutnie bezinteresownej pomocy. Być może jednak pan jej sobie nie życzy, co, detektywie?

Odo westchnął. Po raz kolejny boleśnie uświadomił sobie, że zupełnie nie potrafi rozmawiać z takimi gnidami.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie Cahoun  
– powiedział. – Nie chciałem pana urazić.

– Nie wątpię, drogi panie. Jest pan typem człowieka, który nikogo nie chce urazić, prawda?

– Panie Cahoun.

– Już przechodzę do rzeczy. Mogę wsiąść?

– Proszę. – Gdy dziennikarz wskoczył do dorożki, Odo dał sygnał woźnicy, żeby ruszał. – Więc jakież to pomocy chce mi pan bezinteresownie udzielić?

– Mieliśmy dziś ciekawego gościa w redakcji. Gdy tylko rozeszła się wieść o śmierci pana Rossiego, zaczęli się do nas zgłaszać rozmaici sensaci. Jak zwykle w takich przypadkach. Komuś zawsze wydaje się, że widział lub wie coś, czego nie widzieli i nie wiedzą inni, jednak z mojego doświadczenia wynika, że ludzkość to zatrważająco ślepe i głupie towarzystwo. Niemniej matematyka uczy nas, że w otwartym zbiorze przypadków prędzej czy później musi się przytrafić jakowyś wyjątek, i tak było tym razem. Znalazł się ktoś, kto miał naprawdę coś ciekawego do powiedzenia. Niejaki Zachariasz Fitz, stroiciel fortepianów i zapalony meloman. Pan Fitz był w zeszłym tygodniu na koncercie Rossiego w Filharmonii Królewskiej i jest przekonany, że nasz wirtuoz nie grał wówczas na swoim instrumencie. Myślę, że nie zaszkodziłoby, gdyby pan z nim porozmawiał.

Peterkin zastanawiał się przez chwilę. Czy możliwe, żeby skrzypce zostały skradzione wcześniej, co najmniej tydzień przed morderstwem? To by rzucało na sprawę zupełnie nowe światło.

– W istocie, to ciekawa informacja – powiedział. – Ale czy jest wiarygodna?

– Trudno stwierdzić. To już pozostawiam pańskiej intuicji i rozeznaniu.

– Gdzie mieszka ten pan Fitz?

– Przy Przewoźnej. Niezbyt ciekawa okolica moim zdaniem. Rzut beretem do Zaporcia i Satindo. Mnóstwo fabryk, co krok się człowiek potyka o jakiegoś parszywego gnoma.

– Hm... Dziwne miejsce dla kogoś wykonującego przyzwoity zawód. Nie świadczy to najlepiej o umiejętnościach pana Fitza.

– Jak wspomniałem, sam musi pan ocenić, czy można zaufać jego osądowi. Ja tylko wykonałem swój obywatelski obowiązek i podzieliłem się z panem tym, co wiem.

– Bardzo szlachetnie z pana strony.

– Prawda? – Półelf błysnął idealnie równym bieluchnym uzębieniem.

Odo wychylił się przez okno i zwrócił do woźnicy:

– Zmiana planów. Proszę nas zabrać na ulicę Przewoźną. Wie pan, gdzie to jest? Znakomicie. – Następnie ponownie odezwał się do Cahouna: – Rozumiem, że chciałby mi pan towarzyszyć?

– W rzeczy samej.

Woźnica strzelił lejcami i wykonał dość karkołomny zwrot. Ponownie posypały się klątwy.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, dopóki Cahoun nie wskazał czegoś za oknem.

– Stara fabryka Schuylera – powiedział. – Wyjątkowo parszywy budynek. A wielki jak olifant. Nie rozumiem, dlaczego go nie wyburzą. Robaki żrą Schuylera już z dziesięć lat.

– Nie jest chyba brzydszy od innych zakładów w tej okolicy – odparł obojętnie Odo.

Dziennikarz wzruszył ramionami. Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tym momencie dorożką potężnie szarpnęło. Konie kwiknęły. Odo przefrunął na drugi koniec kabiny i boleśnie rąbnął się w bark.

– Dzie leziesz, pierona, dzie się pokopyta pchasz?! Zdurniałeś ty?! Życie ci niemiłe?!

– Przepraszam, ale to pilne. Widziałem pana Peterkina i...

– A cóż mie tu będziesz gadał?! Tak ci pilno?! Musi na tamten świat, smarku ty, gałganie, niemoto, bałwanie, głupku, pacanie...!

– Starczy! – Peterkin ostro przerwał tyradę woźnicy.  
– O co chodzi, konstablu?

Przy dorożce stał młody człowiek w mundurze. Brakowało mu tylko policyjnej czapki, którą najwyraźniej zgubił, gdy z narażeniem życia zatrzymywał konie.

– Z przeproszeniem pańskim, panie Peterkin – zaczął młodzieniec – nie byłbym pana turbował... Myślałem, że dostał pan wiadomość i jedzie się spotkać z sierżantem Brokkiem. Ale potem zobaczyłem, jak pan mija fabrykę, i pomyślałem... pewnie głupio, ale tak sobie pomyślałem... Proszę o wybaczenie, jeśli turbuję pana na darmo, ale...

Odo słuchał cierpliwie, ale siedzący obok Cahoun nie wytrzymał i wybuchnął:

– Na bogi, chłopcze, mówże, o co chodzi, a nie się jąkasz!

– No bo tak sobie pomyślałem: oho, musi minęliśmy się i pan Peterkin nie dostał informacji, którą zostawiłem na posterunku... Tak sobie pomyślałem. A sierżant mówił, że to bardzo ważne. Wydawał się niezwykle poruszony, jeśli mam być szczerzy.

– Co jest takie ważne? – wtrącił Odo. – Co to była za wiadomość?

– Sierżant Brokk powiedział, że natrafił na ważny trop w sprawie skrzypiec pana Rossiego, i prosił, jeśli to możliwe, żeby spotkał się pan z nim w fabryce Schuylera, w jakimś lombardzie, który się tam mieści. Myślałem, że chłopcy na posterunku to panu przekazali, ale potem zobaczyłem, że pan jedzie, to pomyślałem: zapytam i się upewnię. Tylko pański woźnica, z przeproszeniem, grzał tymi końmi...

– Ja grzałem?! Ja ci dam, ty...!

– Cisza! – rzucił Odo. – Bardzo dobrze postąpiliście, konstablu. Możecie wrócić na swój obchód. – Następnie zwrócił się do Cahouna: – Myślę, że zgodzi się pan ze mną, że wobec takiego obrotu wypadków pański stroiciel może poczekać?

– Ależ naturalnie.

– Znakomicie. Zechce pan zostać w dorożce?

– Czyżby zapomniał pan o naszej umowie, Peterkin? Jeśli pański sierżant faktycznie zlokalizował skrzypce...

– Tego nie wiemy. Ale w porządku. Proszę ze mną.  
Odo wyskoczył z dorożki. Co prawda do mającej za innymi zabudowaniami fabryki Schuylera było jeszcze kilkaset metrów, ale na własnych nogach czuł się zdecydowanie bardziej komfortowo. Ruszył szybkim krokiem. Cahoun podążył za nim.

Weszli w boczną uliczkę i kilku minutach dotarli do ogrodzenia. Zajrzeli do sporej stróżówki, na drzwiach której widniał napis „CH. WILDSZTAJN LOMBARD” oraz coś w gnomim alfabecie, ale nie zastali nikogo wewnątrz.

– Dziwne – mruknął Peterkin. – Rozejrzę się trochę, jeśli pan pozwoli.

– Proszę bardzo.

Odo dał nura pomiędzy półki zawalone starociami. Było tam mnóstwo przedmiotów opowiadających takie czy inne smutne historie: pamiątkowe zegarki rozdawane weteranom walederskiej wojny, tanie bransoletki, spinki, jakaś kamizelka z wielokrotnie przeszywanym paskiem.

Peterkin wszedł za kontuar, żeby poszukać ksiąg buchalteryjnych, lecz wówczas jego uwagę odwróciło skrzypnięcie drzwi. Rozejrzał się i stwierdził, że Cahoun opuścił lombard. Wyrzwał na ulicę, lecz tam go nie było. Pozostawało wyjście na podwórzec.

Niziołek rzucił się do tylnych drzwi i faktycznie ujrzał dziennikarza kręcącego się po zaśmieconym placu. Na wszelki wypadek pobiegł za nim.

– Mógłby mi pan powiedzieć, co robi? – zapytał.

– To samo co pan.

– Panie Cahoun!

– Zanadto się pan denerwuje, panie Peterkin. Wciąż próbuję panu pomóc. Przyszło mi do głowy, że może pański sierżant znalazł coś w hali fabrycznej, więc postanowiłem to sprawdzić.

Razem podeszli do dużych przerdzewiałych drzwi.

– Pozwoli pan, że to ja będę wszystko sprawdzał – powiedział Odo i pociągnął za klamkę.

Zmartwił.

Wewnątrz hali, kilkanaście metrów od wejścia, stał człowiek w długim płaszczu z postawionym kołnierzem. Na głowie miał kapelusz z rondem. W dłoni trzymał rewolwer. Wycelowany prosto w niziołka.

Odo wiedział, że powinien rzucić się na bok, lecz nie był w stanie. Sparaliżowało go, nogi stały się ciężkie, jakby ktoś zawiesił mu u kolan dwa drewniane kłocce. Zdążył tylko zamknąć oczy.

Po chwili usłyszał krzyk i huk wystrzału.

\*\*\*

– Panie Peterkin! – krzyknął Tuur.

Nie było czasu na myślenie. Musiał działać.

Wyskoczył zza maszyny, za którą się krył, i runął w dół schodów na czającego się tam człowieka. W locie cisnął policyjną pałką w drugiego, tego, który właśnie składał się do strzału. Ułamek sekundy później podkute podeszwy sierżanta uderzyły o ciało. Chrupnęły miażdżone kości.



– A. – Brokk wzruszył ramionami. – Krzyżyk mu na drogę, co mi po jego podziękowaniach? Tyle że nieładnie żałować, iż się człeka ratowało.

– No, po prawdzie niewykluczone, żeśmy zdziałali coś więcej. Wyznał mi w sekrecie, że urządzenie, które otrzymał od Waledów Wilson, jest znacznie bardziej zaawansowane niż to napędzające ożywieńca, którego pan... hm... obezwładnił.

– I?

– Podług niego miał się stać marionetką, w odróżnieniu od tamtych zachowującą wszystkie zewnętrzne atrybuty zdrowego organizmu. Agentem doskonałym wszczepionym tam, gdzie mógłby wyrządzić szkody niepomierne.

– Mania wielkości? – Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– Być może. – Odo przestąpił z nogi na nogę, łypnął w górę, ku oknu, następnie do sionki. – Ale cóż... Przy śniadaniu, jak mniemam, wypada poruszać lżejsze tematy. Pójdziemy?

Brokk wyciągnął rękę w zapraszającym geście. Peterkin wszedł do sionki, rozejrzał się za miejscem na płaszcz, kapelusz. Tuur chwilę mu się przyglądał.

– Zda się pan jakoś odmieniony – wypalił nagle.

– Co? – Szare oczy błysnęły w półmroku.

– Dobrze być w domu? W Ganebie, znaczy?

– Tak. Dobrze być w domu.

KONIEC

Peterkin & Brokk: Księga Czterech  
Copyright © Grzegorz Gajek  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-277-9

epub ISBN 978-83-7995-278-6

mobi ISBN 978-83-7995-279-3

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Joanna Mika

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



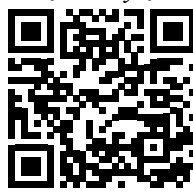
## JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedynie - centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływy pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedynie próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bezpardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie obławy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwytanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

*Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieskrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobaty Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!*





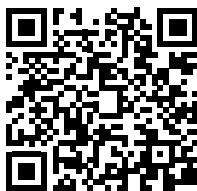
## IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leśny, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyry i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

*Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – Paweł Majka, autor Pokoju światów i Wojen Przestrzeni, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego*

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY  
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA



MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54  
SZARE PŁASZCZE

## KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgliszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

*Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie. - Jacek Łukawski, autor Krew i stal, Grom i szkwał i Pieśń i krzyk*

PIERWSZY TOM SERII SZARE PŁASZCZE





## TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

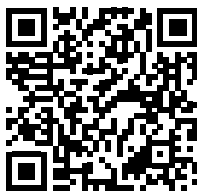
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom

godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

*Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu!* – Jacek Wróbel, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW



Jacek Wróbel  
**Cuda i Dziwy  
Mistrza  
Haxerlina**



CUDA I DZIWY  
MISTRZA HAXERLINA  
JACEK WRÓBEL

W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekiel czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i daw-

nyymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłodami rzuconymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

*“Życie wędrownego maga i alchemika powinno być ustane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu “Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orżnięci klienci potrafią całe lata chorwać urazę...*

Andrzej Pilipiuk, „ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA





TANIEC MARTIONETEK  
TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

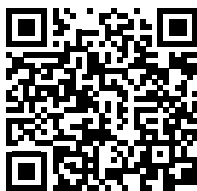
Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

*Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony.* - **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszcz*

*„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat.* - **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

*Tak dobre, że czytałem na głos!* - **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY







## POKÓJ ŚWIATÓW PAWEŁ MAJKA

I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciwego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmosfera dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

NAGRODA LITERACKA IM. JERZEGO ŻULAWSKIEGO  
NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA



## KRAWĘDŹ: OTCHŁAŃ PIOTR PATYKIEWICZ

Świat zawieszony pomiędzy Niebem a Otcłłanią opromienia życiodajna Łaska. Przybiera ona postać słonecznego światła, które rozprasza mrok i błogosławi wszystko, co żywe. Czasami jednak objawia się w bardziej materialnej formie Anioła.

Kiedy jeden z takich wysłanników Łaski spada z niebios, pozostawia potężną emanację mocy. Dzięki niej zamieszkujący pobliską grotę pustelnik zaczyna czynić cuda i przyciągać wiernych.

Wzbudza tym zawiść i pożądanie Mistrza Zakonu, który wysłał na przeszpiegi Najdka, sierotę przygarbnętego lata temu przez zakonników.

Chłopak staje się świadkiem zmagania pomiędzy światłem Łaski a demonami Otcłłani. To, czego doświadcza i wiedza, jaką zdobywa, stanowią ogromne zagrożenie dla ustalonego porządku świata. Najdek, aby uniknąć śmierci lub dożywotniego odosobnienia w klasztorze, musi uciekać. Wyrusza wraz z najlepszym przyjacielem Cabajem i naznaczoną przez Otcłłłań Zoją w podróż, która zawiedzie ich na Krawędź świata. Znajdą tam odpowiedzi na wiele pytań, ale i wiele pytań bez odpowiedzi.

